



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



I drzewa się stroją,  
W nową szatę swoją,  
Puszczając listeczki i pąki.  
Wnet kwiaty wśród trawy,  
Kobierzec jaskrawy,  
Utkają na niwy i łąki.  
A bocian druh stary,  
Szukając ofiary,  
Jak żagiel w powietrzu gdzieś płynie.  
I żabki skrzeczące,  
Porywa na łące,  
Gdy która się bliżej nawinie.  
Drga życiem natura,  
A chociaż i chmura,  
Gdzieś czarnym przesunie się brzegiem.  
I szatę zieleni,  
Na chwilę ocieni  
Sznureczkiem łez szronu, lub śniegiem.  
To wkrótce nad światem,  
Z blasku majestatem  
Słoneczko łaskawy wzrok rzuci.  
I w jednej godzinie,  
Biel, całun zaginie,  
A szata wiośniana powróci.

E. L.

## Z WIOSNĄ.

Spłynęły już lody,  
Na falach też wody,  
Tam rybak ochoczo się pluska.  
A krążąc dokoła,  
Jaskółka wesoła,  
Swem czarnem skrzydełkiem też muska.  
Skowronek na błoni,  
Poranną pieśń dzwoni,  
A tonąc w świetlanym błękiecie,  
Do pracy zagrzewa,  
I w głos swój przelewa,  
Cześć niebu za wiosnę i życie





# W pustyniach Australii.

PRZEEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Pihi! To mi dopiero wojna! — zawołał lekceważąco Jerzy. — Nikt nawet guza nie oberwał.

Podróżni, nie słysząc już warczenia pocisków, opuścili swe stanowisko i stanęli wśród kobiet, starców i dzieci, otaczających kołem pole bitwy.

Przeglądano się spokojnie utarczce, gdy niespodziewanie Halm wydał groźny okrzyk.

— Ha, łotry, rabusie! Jesteście tutaj?! Poczekajcie no! Nie ujdzie wam to na sucho!

— Co takiego się stało? — zapytał Dugan, zdziwiony temi pogroźkami doktora.

— Jakto? Więc pan ich nie widzisz?! — zawołał zaperzony entomolog, wskazując na tłum walczących. — Ot, ten tam paraduje w mojej kamizelce, tamten zaś, co teraz zasłania się właśnie tarczą, ma na sobie moją marynarkę.

Rzeczywiście, towarzysze doktora ujrzeni pomiędzy uczestnikami turnieju kilku dzikich, przystrojonych w rozmaite części ubrania szanownego uczonego.

— Sprawiedliwość więc oddaje w twoje ręce, doktorze, owych zuchwalców, którzy onegdaj splełali ci takiego przykrego figla — rzekł Dugan, uśmiechając się pod nosem. Cóż zamierzasz z nimi zrobić?

— Co ja z nimi zrobię? — powtórzył doktor, urażony ironicznym brzmieniem słów Dugana. — O to!

I zanim towarzysze zdążyli go powstrzymać, Halm wypalił z rewolweru w kierunku dzikiego, który miał na głowie jego kapelusz.

— Na Boga! Coś pan uczynił! — krzyknął przerażony podróżnik, wydzierając broń entomologowi. — Zgubiłeś nas!

Towarzysze doktora, pobladłszy, patrzyli, jaki skutek wywarł strzał, dany tak lekkomyślnie.

W jednej chwili dżicy zaprzestali walki; wzniesiona broń opadła i wszystkie oczy skierowały się w stronę gumowca, około którego unosił się ledwie dostrzegalny obłoczek dymu prochowego. Wojownik, do którego celował doktor, został znać rannym, gdyż wydawał głośnie jęki; w mgnieniu oka zgromadziła się przy nim cała zgraja kobiet; nieprzyjacielskie plemiona, zapomniawszy o turnieju, dążyły także na miejsce wypadku.

Kilkunastu krajowców, ujrawszy naszych podróżnych, którzy daremnie usiłowali się ukryć poza eukaliptusem, wypuściło na nich swe bumerangi. Jeden z pocisków zadrasnął w głowę Toma.

— Tam, do tysiąca djabłów! — zaklął pastuch, dotykając palcem skaleczonego miejsca — nawarzyłeś piwa, panie doktorze, niech cię nie znam! Czarni rozsiekają nas tutaj w kawałki.

— Czy strzelać? — zagadnął Jerzy, odwodząc kurek od swej dubeltówki.

— Nie, nie, powstrzymaj się, mój chłopcze! — zawołał żywo Dugan — być może iż sprawa da się jeszcze załagodzić. Do broni uciekniemy się w ostateczności dopiero.

— Cóż więc czynić?

— Poczekajcie, pójdę rozmówić się z nimi; wytłomaczę iż był to strzał przypadkowy.

— Ależ oni cię zabiją, skoro tylko im się pokażesz, kochany wuju! — odparł młodzieniec błagalnie, chwytając za rękaw podróżnika.

— Puśćcie mnie, spróbuję!

I Dugan, nie zważając na opór towarzyszy, wyszedł z z drzewa i postąpił kilka kroków w kierunku dzikich, którzy otaczali wojownika, trafionego kulą Halma.

Na jego widok krajowcy wydali przeraźliwe wycie; nasz podróżnik daremnie usiłował zapewnić ich o swym przyjaznym usposobieniu gestami rąk i słowami; w odpowiedzi otrzymał parę dzirytów, które dosięgłyby go niezawodnie, gdyby nie wskoczył za drzewo, rosnące obok.

Dżicy, ośmieleni tym ruchem, zawyli, jak stado dingów i rzucili się z podniesionymi włóczniami na naszą gromadkę.

— Strzelajmy! — zawołał Jerzy.

— Ognia! — powtórzył Tom.

Prawie jednocześnie huknęły dwie dubeltówki i dwaj murzyni wywrócili kozła. Towarzysze powalonych celnymi kulami, zatrzymali się wahająco.

— Do obozu! Za mną! — krzyknął w tej chwili Dugan.

I ze strzelbą w rękę poskoczył w zarośla, dając znak, ażeby go naśladowano.

Tom, wypalwszy raz jeszcze w sam środek tłumy, podążył wślad za podróżnikiem. Doktor i Jerzy uczynili to samo. Krajowcy, opamiętawszy się, rozpoczęli ścigać uciekających napastników; las napełnił się w mgnieniu oka zgrają czarnych djabłów, którzy, łaknąc krwi ludzkiej, sunęli pomiędzy drzewami jak wyżyły.

Dugan i jego towarzysze słyszeli świst pocisków, przelatujących dokoła; to dodawało im energii. Biegli więc, nie zważając na ostre liście, które krwawiły im twarz i ręce, ani na kolczaste krzewy, wśród których pozostawiali szmaty swej odzieży. Szalona ta ucieczka nie trwała długo; naciskani coraz bliżej, nasi podróżni musieli w końcu stawić czoło wrogowi.

Kilka strzałów powstrzymało zajadłych murzynów i pozwoliło odpocząć ściganym.

— Cofajmy się na otwarte miejsce, inaczej zginiemy tutaj wszyscy — rzekł Dugan, nabijając dubeltówkę, z której dał ognia przed chwilą; — patrzcie, dżicy otaczają nas!

Wśród przeciskających się do lasu promieni słonecznych, wyraźnie można było rozpoznać liczne, czarne postacie, pełzające ostrożnie po ziemi od drzewa do drzewa.

Nie było więc ani jednej chwili do stracenia; uciekający posunęli się żwawo w kierunku, gdzie las przeświecał, szukając schronienia, tak jak i dżicy, poza grubymi pniami gumowców. Jerzy, nie tracąc z oczu towarzyszy, zatrzymywał się od czasu do czasu, aby posłać kulę jakiemu murzynowi, który mu się pokazał nieostrożnie. W ten sposób zasłaniał odwrót; Tom czuwał ze swej strony, aby krajowcy nie natarli z boków. Doktor, pełen zapału rycerskiego, strzelał bez przerwy z rewolweru we wszystkich kierunkach, nie dbając wcale o to, żeby kule jego trafiały. Widzimy iż nasza garstka ustępowała podług wszelkich reguł taktyki.

Dżicy, pomimo straty kilku ze swoich, nie zaniechali pościgu; przeciwnie, nacierali coraz zajadlej; Jerzy otrzymał dość bolesną ranę w plecy dziirytem, którego nie mógł uniknąć, doktorowi zaś, maczuga rzuciła z głowy kapelusz, nabijając przytem olbrzymiego guza.

Podróżni polegliby napewno w owych fatalnych zaroślach, gdyby na szczęście las nie był się skończył nagle.

Dugan, ujrawszy przed sobą obszerną pochyłość, zasianą odłamami skał, krzyknął radośnie:

— Biegniemy, towarzysze, tam za tę wysoką skałę! Nie zatrzymywać się wcale i nie strzelać! Prędko!

Wszyscy ruszyli, zbierając nogi i nie zważając na warczące koło uszu bumerangi. Za chwilę znaleźli się poza wskazaną przez Dugana skałą, gdzie odetchnęli swobodnie.

— Teraz ognia, wszyscy razem! — rzekł Dugan, ocierając pot i krew z twarzy — trzeba trzymać nieprzyjaciela w przyzwoitej odległości.

Tom, Jerzy i doktor usłuchali rozkazu bez namysłu. Jeden tylko Abel nie zrobił użytku ze swej dubeltówki.

— Dlaczego nie strzelasz? — zagadnął go Jerzy.

— Niewinna krew! — szepnął Abel. — Przenigdy!



— Aha, nie chcesz podnieść ręki przeciw swym współziomkom, — rzekł chłopiec; — to bardzo pięknie z twojej strony. Musimy jednak strzelać, bo inaczej czarni zamordują nas bez litości.

— Mam myśl! — zawołał nagle Dugan — wdrzyjmy się na wierzchołek tej skały; to doskonała pozycja! Będziemy mogli bronić się z niej doskonale.

— Dobry projekt! — odparł Jerzy — to nie trudno.

Skała była z przeciwnej strony dość łagodnie pochyłona i chropowata tak, że projekt Dugana wykonano bez przeszkód.

Szczyt olbrzymiego głazu wzniesionego na dziesięć metrów po nad ziemią, był cokolwiek ścięty; nasi podróżnicy pomieścili się na nim wygodnie. Z tego stanowiska widzieli doskonale całą łąkę, przyległą do lasu; żaden z dzikich nie mógł się wychylić z gąszczy, nie narażając się na strzały.

Oszczepy i nolle — nolle nie były w stanie dosięgnąć aż tutaj, gdyż pierwsze drzewa rosły w odległości siedmdziesięciu kroków. Co zaś do bumerangów i kamieni, to tych obłożeni potrafiliby uniknąć. Jerzy i Tom, leżąc na ziemi, z gotową do strzału bronią czekali, rychło wypadnie z zarośli ścigając ich zgraja ludożerców; doktor szukał w kieszeniach nabojęw do swego rewolweru; Dugan zaś naradzał się wespół z Ablem, co czynić.

— Jak myślisz, moje dziecko? — zagadnął swego wychowawcę — czy dzicy odważą się nas zaatakować? Obawiam się tego, gdyż wiem, że nawet dubeltówkami i rewolwerami nie obronimy się im, jeżeli przypuszczą szturm ze wszystkich stron równocześnie.

Abel wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odparł. — Sądzę jednak, że należy przygotować się na wszystko. Zresztą zaraz zobaczymy, co ci biedacy zamierzają zrobić.

Zaledwie Abel dokończył tych słów, gdy skraj lasu zaroił się tłumem dzikich; w powietrze wleciała chmura pocisków, skierowanych do skały.

— Niech diabli porwą! — zaklął Tom — za chwilę będziemy mieli na karku całą zgrają. W każdym razie niejedna z tych małych wywróci kozła, zanim się damy naszpikować dziurami.

— Jesteś jedną nogą na tamtym świecie, a tak niemilosierdzie sádzisz diabłami — rzekł Jerzy, żegnając się.

— Towarzysze — przemówił poważnie Dugan — znajdujemy się w położeniu, z jakiego tylko cudem zdołamy wyjść cało. Odwagi więc i zimnej krwi; nie podnosić się! A teraz zróbmy wszystko, co jest w naszej mocy dla ocalenia życia.

Nie było czasu na obszerniejszą przemowę, gdyż krajowcy, opuściwszy las, tłumnie biegli ku skale, na której schronili się nasi podróżnicy.

Huk kilku wystrzałów powstrzymał wszakże ich wojownicze zapędy.

— Oto dwóch od razu padło na ziemię! — zawołał Tom, sięgając po naboje do ładownicy — no, teraz synę loftkami i zaręczam, że te nie będą im smakowały.

Tom z zimną krwią, właściwą Anglikom, spełnił to, o czem mówił.

Dwa wystrzały loftkami sprawiły nadspodziewany skutek; kilku krajowców, rannych zapewne, tarzało się w trawie. Na ten widok tłum drgnął i spiesźnie powrócił do lasu, ażeby poza jego drzewami znaleźć osłonę od gradu ołowiu.

— Hołota! Tchórze! — zawołał Tom, podnosząc się — Stu na jednego, a uykają, jak króliki!

Tfy! czekajcie — dodał, — poślę wam jeszcze jedną porcję, żebyście na przyszłość nie podnosili ręki na białego.

Chciał wystrzelić, lecz Abel silnie pochwycił go za ramię.

— Czyż ci nie dość tej krwi, którą przelałeś? — zapytał drżącym głosem.

Pastuch opuścił broń i spojrzał ze zdziwieniem na czarnego studenta.

— Ja mam jej dosyć — odparł — ale im zamało widać, skoro jeszcze nie drapnęli, gdzie pieprz rośnie.

— Przecież ci ludzie nie wyrządzili ci nic złego, — mówił dalej Abel — i nie oni nas, lecz my ich zaczepiliśmy; nie można brać im za złe, że chcą się pomścić za lekkomyślne morderstwo, jakiego się dopuścił doktor w chwili uniesienia. Opuść twą broń, Tomie; masz przed sobą nie psów dzikich, lecz istoty równe sobie.

Pastuch skrzywił się na ostatnie porównanie, lecz usłuchał i przestał nabijać swą strzelbę.

— Zdaje się, że nie ośmiela się przypuścić powtórnie szturm — odezwał się Jerzy, któremu błyszczały oczy. — Prawdopodobnie zaczął oblężenie, ażeby nas zmusić głodem do opuszczenia tej fortecy.

— Mają na to lepszy i łatwiejszy sposób, — rzekł Tom kiwając głową. — Pragnąłbym bardzo, żeby nań nie wpadli.

— Jakiż to sposób? — zagadnął niespokojnie doktor.

— Oh, najprostszy w świecie; skończyliby z nami odrazu, nie ryzykując wcale swojej skóry.

— Co masz na myśli? — wtrącił Dugan, który dotychczas nie brał udziału w rozmowie.

Pastuch zamiast odpowiedzi, wskazał palcem na łąkę.

— Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć, — rzekł Jerzy.

(d. c. n.)

## ROŚLINA KWIETNIOWA.

### Szczawik (Oxalis).

Wyszedłszy w miesiącu kwietniu na przechadzkę do lasu, znajdziecie w miejscach zacienionych śliczną roślinkę, zaledwie jeden decymetr wysoką. Wydaje zwykle trzy do czterech kwiatków białych lub blado-różowych. Każdy z tych kwiatów, na oddzielnej szypułce, złożony z kielicha zielonego o pięciu karpach, korona ma pięć płatków delikatnie prążkowanych. Pośrodku kielicha znajduje się dziesięć słupków z których pięć większych, pięć mniejszych. Liście podobne trochę do liści koniczyny, składają się z trzech mniejszych listków w kształcie serca; smak ich przyjemny, kwaskowaty, przypomina zwykły szczaw. Roślina ta należy do rodziny szczawikowatych, której w naszej florze mamy tylko dwa gatunki. Szczawik zwyczajny, leśny w niektórych okolicach zwany bywa „Alleluja” dla tego, że kwitnie około Wielkiej nocy. Ma on tę własność, że wieczorem po zachodzie słońca, przymyka kielichy kwiatów, ściągając listki i niby zasypia do rana.

Równą drażliwość okazuje przy najlżejszem dotknięciu, ściągając na kilkanaście minut kwiat i liście, jakby zakładał protest przeciw niedelikatnemu z niem obejściu.

Nie znosi podobniej podmuchu wiatru, nie lubi grzmotów, deszczu i z tego powodu za barometru niejako służyć może. Jeśli deszcz ma padać w ciągu dnia, kwiaty i liście szczawika pozostają zwinięte; przed nadejściem burzy również przezorna roślinka zwołna ściągając płatki.

Pod koniec czerwca miejsce zwiniętych kwiatów zastępuje torebka pięciokomórkowa, zawierająca znaczną ilość nasienia. Jeśli owe drobne ziarenka zechcecie położyć na arkuszu papieru i dmuchniecie na nie, zobaczycie jak skacząc niby małe robaczki, odlecają na przestrzeń dwóch metrów. Każde z tych ziarenek opatrzone jest elastyczną błoną, która rozdymając się pod wpływem wilgoci, pęka nagle i jakby za naciśnięciem sprężyny odrzuca od siebie ziarenko.

Ułatwia to rozmnażanie się rośliny; nasienie obok niej pada i póki ma grunt suchy leży bezczynnie, ale po pierwszym deszczu wypuszcza z siebie kielki, mające się w dalszym ciągu na roślinę wykształcić.



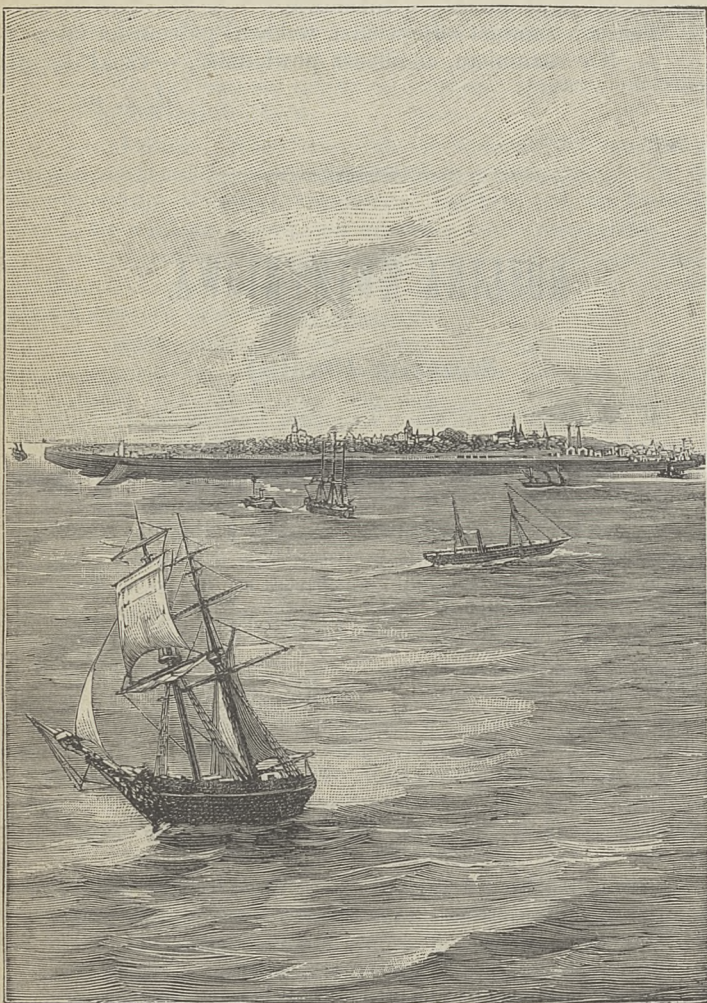
# GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ŻUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

I stanęła mu przed oczyma Inmergunda wraz z Berchtem wzywająca jego pomocy. Wyciągnął przed siebie dłoń jakby chciał ich w swoje objęcia pochwycić, lecz zamiast żony i syna napotkał tylko dłoń Gemen, który ująwszy jego ramię, rzekł głosem stanowczym:



Cudowna wyspa.

— Pójdźmy stąd szlachetny Robercie!

Robert posłuszny jak dziecię, wsparł się na ramieniu przyjaciela i powoli schodził z wieżycy. Gdy stanął na podwórku zamkowym, całe nieszczęście znów mu się uprzytomniło.

— Kłątwa, kłątwa! — zawołał znów dwukrotnie.

— Kłątwa! — Fehmgericht! — jak echo powtórzył Gemen.

A chociaż tylko mury ich słuchały, wyrzekł to prawie szeptem, wierny przysiędze, jaką stowarzyszeni sądów tajemnych składali, a która opiewała:

„Świętej Fehmmy nie wyjawisz przed ojcem ani bratem, przed ogniem, wodą ni wiatrem, przed żadną istotą, którą słońce ogrzewa lub deszcze skrapiają; przed żadnym przedmiotem co między niebem a ziemią istnieje.”

Oni obadwaj, Robert i Gemen byli członkami Związku,

mogli więc przy sobie wyrzec jego nazwę, nie tylko zaś wyrzec, lecz nawet obwinionego przed sąd zawezwać, zebranie zwołać i zbrodniarza na wszystkie strony świata ścigać.

Siebenhaus więc przed sąd powołanym już został, bo wypowiedziane przez Roberta: „kłątwa, kłątwa” a powtórzone przez Gemen, jako drugiego członka Fehmgerichtu, było już dostatecznym wezwaniem.

Na znak zespolenia ścisnęli sobie teraz dłonie a Gemen dodał:

— Nim Fehmgericht zwołamy, pójdźmy go szukać! — rzekł Gemen.

— Pójdźmy — odrzekł ponuro Robert. A potem dodał:

— Pójdźmy najpierw *ich* jeszcze szukać!

I w milczeniu opuścili zamek.

## IY.

### W CZELUŚCI PIEKIELNEJ.

Gdy Bogum po długim męczącym śnie otworzył oczy, ujrzał się wśród otoczenia nieznanym sobie zupełnie ludzi. Postacie ich oblane światłem ognia buchającego z wielkiego na środku ogniska, różniły się wielce od rybaków, wśród których się wychował. Takich ludzi jak ci, którzy z wielkiego kotła stojącego na skraju ogniska wielkimi łyżkami czerpali strawę, nigdzie dotąd nie widział.

Nawet w Salzburgu, gdzie podczas jarmarku z rozmaitych stron pełno było przybyszów, nigdy takich nie spotkał. Nie mogąc zaś zdać sobie sprawy z tego, co go otaczało, przymknął napowrót powieki, aby się pozbyć widoku, który go jakimś nieznanym dotąd przejmował strachem. Przez chwilę zdawało mu się, że śni o jednej z tych baśni, które babcia i starzy rybacy opowiadali w długie zimowe wieczory, gdy się zebrali przy ogniskach dla wiązania sieci.

Ale głosy rozmawiających najwyraźniej go dochodziły: wprawdzie nie mógł dosłyszeć wyrazów, które trzask palących się suchych gałęzi głużył, on był na wyżynie, a ludzie ci siedzieli niżej we wgłębieniu, ten gwar nieprzyjemnie raził słuch jego wydelikaczonej choroby. Widział wielkie ognisko, w jakiejś głębini, a ponad nim tuż wisiał wielki żrący skały. Spojrzał przed siebie w dal, widział ogromny strop nieba, na którego błękitnie błyszczą gwiazdy, spoglądając na świat migotliwym swem światłem i dodając całemu obrazowi niezwykłego uroku.

— Nie, to wszystko bajka, to sen! — pomyślał sobie.

I przymknął znowu powieki.

Lecz nagle uczuł głód, który ścisnął mu wnętrzności, głodu takiego nie czuł jeszcze nigdy, chciał wstać, poruszył się, ale członki jego były bezwładne, nie mógł się podnieść. Jednocześnie woń jadła rozchodząca się od stojącego przy ognisku kotła, drażniła jego powonienie.

Zebrał więc całe siły, rzucił się na posłaniu i krzyknął:

— Jeść!

W miejsce odpowiedzi doszedł go tylko śmiech głośny, wybuchły naraz z kilku piersi.

Potem już nic nie słyszał i nie widział. Zdawało mu się jednak, że łykał jakiś napój, który mu do ust przytknięto.

Potem już nie tylko nic nie słyszał i nie widział, ale nie czuł głodu. Obeszwał się jeszcze więcej i zapadł znów w sen błogi i pokrzepiający.

Gdy znów się obudził promienie słońca spływały mu już w oczy, przypomniał sobie jednak owych ludzi, spojrział przed siebie... nikogo nie było, tylko w powietrzu rozchodziła się woń spalenizny, a tam z dala, poniżej, widział zgłiszczą niedogasłego ogniska.

Nie mógł sobie znów zdać sprawy z tego, co go otaczało, dokoła sterczały skały, gdzieś tam zieleniły się ciemne karłowate krzaki, lub w rozpadlinach uczipiona korzeniami sosna strzelała ku górze, cienkim mającym mało pożywienia pniem i iglastą swoją koroną.

Zresztą cisza była zupełna.



Poruszył się, siadł z trudnością; spojrzał na ręce i zdało mu się, że je ktoś zamienił. Cienkie były i jakieś blade, delikatne, a gdy stanął, nogi również były jakby cudze. Siły i krzepkości dawnej w nich nie czuł, chwiały się, a długa oponcza, którą miał na sobie, zamiast zwykłego rybackiego odzienia, tamowała mu ruchy. Chciał ją zrzucić, lecz oponcza była jedynym jego odzieniem, owinał się więc nią i chciał zejść niżej, lecz nogi mu odmawiały posłuszeństwa, niewielka przestrzeń wśród rozpadliny skał, jaka dzieliła go od spopielonego ogniska, zdawała mu się olbrzymią przepaścią. Położył się więc na wznak i począł się powoli zsuwać; niecierpliwiła go ta bezwładność a głód znów mu niepomniernie począł dokuczać. Nareszcie znalazł się około stosu popiołu, z pod którego dym słabo się wydobywał. Odpoczął chwilę i ka-

stałem się na wierzchołek gór?... przecież woda wyrzucić mnie tak wysoko nie mogła ..

Na wspomnienie wody zaczęło go ogarniać pragnienie, obejrzał się dokoła, nigdzie ani kropelki, wszędzie skały i skały...

— Ach, gdyby tak choć trochę wody! — pomyślał sobie, poruszając ustami i czując smak co tylko zjedzonego mięsa.

Wstał, nogi pod nim drżały, w głowie mu się kręciło, oparł się więc o stromą ścianę skały i spojrzał przed siebie.

Stał w rozpadlinie skał a niewielkie wyłobienie jak dno rozbitego garnka, na którym właśnie tliło spopielone ognisko, było największą około niego przestrzenią. Naprze-



A T E N Y.

wałkiem gałęzi począł popioł rozgrzebywać. Jakaż była jego radość, gdy z pod popiołu wyciągnął dużą kość na której soczyste przyrumienione mięso woniało tak przyjemnie, iż nie tylko wygłodzonego długą chorobą młodego rybaka, ale najwybredniejszego zadowolić mogło smakosza. To też chłopiec chciwie zapuścił w nie swe białe zęby i z pewną przyjemnością oblizywał sok spływający mu po palcach.

— Jakie to dobre! — myślał sobie — lepsze od najtłuszcieszego wędzonego miętusa.

W miarę zaś jak jadł, siły mu przybywało a umysł jakos łacniej począł pracować.

— Skąd ja się tu wziąłem? — przeszło mu nagle przez myśl.

I zastanowił się chwilę.

— Ach prawda! wszak to była burza... wypłynąłem na jezioro... łódka mi się rozbiła... No, ale jakim sposobem do-

ciow niego, z boku, na prawo, na lewo sterczały skały, opasując go jakby murem nieprzebytym dokoła.

Spojrzał ku górze, ale promienie słońca spadające wprost ku niemu, raziły wzrok jego światłem oślepiającym.

— Jakże ja muszę być daleko od jeziora! — zawołał.

Jakieś nieprzyjemne echo odbiło jego wyrazy. Strach go przejął ogromny.

— Skąd ja się tu wziąłem! Skąd?! — powtórzył pełnym głosem.

Echo znów powtórzyło przeciągle:

— Skąd?...

Teraz już zimny pot oblał mu czoło, zadrżał i zdawało mu się, że wszystkie włosy najeżyły mu się na głowie.

Ci ludzie w czerwonym świetle palącego się ogniska, skały przejmujące go swą wielkością i milczącą grozą, wreszcie całe otoczenie urastało w jakąś zaczarowaną przejmującą go strachem rzeczywistość.



Nasłuchiwał się tyle baśni, opowiadań o olbrzymach i złych duchach kryjących się w rozpadlinach skał, iż teraz nie wątpił, że się w moc ich dostał.

— Boże, jeżeliż są to złe duchy i swoją nieczystą siłą pochwyciły mnie do swego siedliska! — zawołał.

Nie stracił jednak przytomności i przeżegnawszy się, począł odmawiać modlitwę, której go nauczyła babula.

Jakaś otucha w niego wstąpiła.

— Jeżeli na znak krzyża świętego nie wystąpiły z czeluści swoich złe duchy i nie pochłoneły mnie odrazu, mam więc sposób na nich! — pomyślał sobie.

Tymczasem pragnienie mu dokuczało coraz więcej.

Dotknął ustami nieco nędznego mchu porastającego między szczelinami skały, ale ten suchy, spieczony, nie tylko ust mu nie zwilżył, lecz jeszcze pozostawił smak gorzko-słony, którego się pozbyć nie mógł.

— Tfu! — splunął z pewnem obrzydzeniem, a nie myśląc dłużej, uczepił się sterczącej skały i począł się na nią wdrapywać.

Z trudnością mu to przychodziło; czuł, że dłonie jego nie mają siły, że nogi nieudolnie czepiają się wrębów, ale jakas niepohamowana żądza wydostania się z owej *czeluści piekielnej*, jak nazwał miejsce, w którym się znajdował, popychała go ku gorze.

Po chwili znalazł się na odłamie spłaszczonej skały, która jak dziób olbrzymiego ptaka zaglądała właśnie w ową otchłań.

Teraz spojrział w nią z pewną ciekawością; dymiące przysypane popiołem ognisko czerniało w głębi, oświetlone ukośnie spadającymi jaskrawymi promieniami słońca. Teraz już był pewny, że spogląda w prawdziwą otchłań piekielną.

Podnosi więc ku górze głowę, chcąc uciec jeszcze dalej, ale nad nim znów zwieszała się skała, nakrywając go swoim cyplem jakby olbrzymią czapką.

Gdziekolwiek spojrział sterczały większe i mniejsze nagie skały, a w tejsze chwili straszny świst wiatru, począł przerażliwie wyć pośród ich szczelin.

— Boże, co się ze mną stanie! — zawołał przerażony chłopiec. I upadł na twarz, jakby tem chciał przytłumić ów świst, który go zewsząd dochodził. Wtem zdało mu się, że mimo świstu wichru, słyszy gdzieś blisko spływającą wodę. Pragnienie tak mu dokuczało, że przemogło nawet lęk, jaki go ogarniał, podniósł więc głowę i zaczął nasłuchiwać... Najwyraźniej słyszał powolne pluskanie wody, która spadała z wyżyny.

Nad nim i dokoła niego sterczały skały, wody nigdzie nie widział, ale musiało to być gdzieś bardo blisko, może po drugiej stronie góry, ale gdzie?

Wśluchiwał się jeszcze czas jakiś, nie mógł jednak dobrze rozpoznać, mimo to na chybił trafił począł się wdrapywać na sterczącą i rozdartą skałę.

Poszarpane jej boki ułatwiały mu wejście, wdarł się więc i o radości! z rozpadliny, u szczytu, spływała dość grubym strumieniem woda.

(d. c. n.)

## ATENY.

Mnóstwo wspomnień odnoszących się do najodleglejszych dziejów starożytnego świata, łączy się z istnieniem miasta które przedstawia rycina nasza.

Przychodzi najprzód na pamięć Cekrops, który jeszcze na lat 1500 przed erą chrześcijańską, założyć miał pierwszą jego osadę, podanie to popiera okoliczność, iż Ateny rzeczywiście przez pewien czas były nazywane Cekropią i dopiero znacznie później nazwa ta pozostała tylko dla samej miejscowej warowni.

W dalszych czasach Ateny jako stolica Attyki, później zaś rzeczypospolitej ateńskiej, doszły do znakomitej potęgi i sławy. Obywatele ich słynęli między innemi ludami greckimi, nie tylko z męstwa, lecz zarazem z wysokich zalet umysłowych i wydoskonalenia w sztukach pięknych, czego dowody przetrwały aż do naszych czasów.

W owej to epoce, leżały Ateny pomiędzy rzekami Cefissos i Hissos o cztery godziny drogi od zatoki Saronkiej. Trzy porty: Pireus, Munichia i Faleros, łączyły się z miastem. To ostatnie dzieliło się wtedy na; Akropolis, czyli miasto wyższe, tak nazwane od swego górnego położenia i Katapolis, czyli niższe.

Szczupłe ramy pobieżnego wspomnienia nie pozwalają wymienić wszystkich znakomitych gmachów, oraz arcydzieł sztuki, jakie zdobiły wówczas obie części Aten, ciągnęły się jeszcze poza ich murami. Niepodobna jednakże zamilczeć o Parthenonie, czyli świątyni Pallas-Ateny, z posągami tej bogini, mistrzowsko wykutym z białego marmuru, przez rzeźbiarza Fidyjasza, oraz niemniej pięknej świątyni Pallady i Posejdona, głównych ozdobach Akropolisu.

Katapolis o jedenastu bramach, mieściło w sobie: plac publiczny, galerię posągów, świątynię gdzie dawano widowiska sceniczne, budynek koncertowy, gmach służący na zgromadzenia członków oraz pałac senatu.

Sławna świątynia Jowisza Olimpijskiego, gdzie się mieścił posąg tego bożka, ze słoniowej kości, uważany za jeden z siedmiu cudów starożytnego świata, Akademia, czyli szkoła Platona, liceum, szkoła perypatetyków, założona przez Arystotelesa, oprócz wielu innych wytwornych świątyń i gmachów, mieściły się już poza murami miasta.

Takimi były niegdyś starożytne Ateny w epoce swojej świetności, przypadającej na lat 444 przed Narodzeniem Chrystusa, w następnych jednak wiekach dostając się w ręce coraz to sroższych więcej barbarzyńskich nieprzyjaciół, straciły swe bogactwa i wykwićność.

Szczególniej też w r. 1456 po zdobyciu przez Omara zamienione zostały niemal w jeden stos gruzów, pod którymi zniknęły prawie wszystkie wyżej wymienione arcydzieła. Smutny ten stan Aten z małą odmianą przetrwał aż do r. 1830, to jest do czasu kiedy połączone z resztą Attyki zostały stolicą królestwa greckiego.

Dzisiejsze Ateny z dobrego urządzonym portem Pireus, nad którym leży miasto tegoż samego imienia, liczą około 100,000 mieszkańców i w niczem prawie nie ustępują innym stolicom europejskim. Posiadają uniwersytet z bogatą biblioteką, teatrami, wykwićnymi pałacami i zabudowaniami rządowymi i wiele różnych pożytecznych zakładów.

Oprócz tego pod rządem światłych monarchów, zdołano podźwignąć z ruiny część owych zdumiewających architektonicznych zabytków, wzbudzających w tak odległej potomności podziw i uwielbienie.

E. L.

## CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Wzdłuż wybrzeży, mając po jednej stronie morze, pociąg przebiegł już około pięciu kilometrów, gdy zatrzymał się na chwilę opodal wystawionych dwunastu dział wielkiego kalibru.

— Oto działa, które bywają naładowane systemem całkiem nowym i odmiennym od tego, jaki się praktykuje dotychczas w starej Europie — objaśnia Kalikstus.



W miejscu tem wybrzeże tworzy wyraźny i ostro zakończony przylądek, o który wody morskie rozbijają się, rzucając wkoło białe płaty piany. Silne to wzburzenie przypisać należy zapewne miejscowemu prądowi wody, bo dalsza powierzchnia oceanu, wolna od bałwanów, zdaje się zasypiać wraz ze skłaniającym się ku zachodowi słońcem.

Mimo żywego zajęcia, wszyscy już odczuwają pewne znużenie to też chętnie przyjmują wiadomość, że nowa linia kolei, na którą wjechali, powiedzie ich wprost do miasta. Zapytany o godzinę Amerykanin wydobywa zegarek, arcydzieło Silwana z Genewy, zegarek gadający, w którym za naciśnięciem sprężyny aparat fonograficzny najwyraźniej wypowiada słowa: „godzina czwarta, minut trzydzieści”.

— Sądzę, iż nie zapomni pan o tem, że mamy wejść jeszcze na wieżę waszego obserwatorium — odzywa się Francolin.

— Miałbym zapomnieć o rzeczy tak ważnej, mili przyjaciele? toż łatwiej chyba zapomnielibym dzisiaj moje nazwisko, które jednak cieszy się już dość znaczną sławą!... Jeszcze tylko cztery milki, a znajdziemy się przed tym wspaniałym budynkiem, wznoszącym się na końcu ulicy pierwszej, tej samej, która dzieli nasze miasto na dwie części.

Na olbrzymim zegarze wieżowym, o tarczy podobnej do tej, jaka się znajduje w gmachu parlamentu w Londynie, wielkie wskazówki oznaczają godzinę wpół do piątej i niebawem metaliczny dźwięk instrumentu oznajmia to mieszkańcom miasta.

W okolo wieży wznoszą się budynki obserwatorium, przeznaczone do różnych doświadczeń i badań, niektóre z nich zakończone aluminiowymi rotundami, mają okna oszkłone, przez które astronomowie mogą śledzić bieg gwiazd na sklepieniu niebieskiem.

Wysoka na sto dwadzieścia stóp wieża czworoboczna, wznosi się ponad wszystkie te budynki; z wyższych jej galerii roztacza się widok o promieniu pięciu kilometrów, bo z tej wysokości nie już, ani lasy ani wzgórza nie mogą zakryć dalekiego widnokręgu.

Kalikstus Munbar wyprzedzając swych gości, wchodzi do budynku, którego drzwi otwiera w bogatej liberyi szwajcar. W głębi obszernego przedsionka czeka wygodna winda elektryczna; ruchem lekkim i równym unosi ona w górę przybyłych, i w czterdzieści pięć sekund zaledwie zatrzymuje się już u najwyższej platformy wieżowej, skąd na olbrzymim porporcu powiewa chorągiew miasta. Lecz jaką narodowość wskazuje ona? Żaden z Paryżanów nie umie określić tego, bo chociaż tło zajmują w poprzek idące białe i czerwone pasy, nie widnieje na nich owe sześćdziesiąt siedm gwiazd, które błyszczały na firmamencie Zjednoczonych państw Ameryki, a miejsce ich zajmuje jedna olbrzymia, albo raczej jedno złote słońce, walczące o lepsze świetnością blasku z promienną gwiazdą dnia.

— Oto nasz pawilon, panowie! — oznajmia Kalikstus Munbar, uchylając równocześnie kapelusza z gestem wyrażającym uszanowanie. Z koniecznej grzeczności Paryżanie naśladują ruch yankesa, poczem spieszą na platformie do otaczającej ją galerii, przechylają się i...

Okrzyk zdziwienia najpierw, na następne gniewu wyrwa się równocześnie z piersi wszystkich czterech. Ziemia, która rozkłada się tam poniżej, tworzy regularny owal, otoczony ze wszystkich stron, jak oko zasięgnąć zdoła, niezmierną płaszczyzną morską...

A jednak wczorajszej jeszcze nocy szli drogą wiodącą do wioski Freschal, i jeżeli następnie w pojeździe Amerykanina przebywali wodę, przekonani byli najzupełniej, że była to tylko niezbyt szeroka rzeka; kiedy więc i jakim sposobem opuścili stały ląd Kaliforni? Jak się to stać mogło bez zezwolenia, a nawet świadomości z ich strony?

Oprzytomniawszy nieco z pierwszego wrażenia, Francolin zwraca się do Kalikstusa Munbara w formie zapytania:

— Więc znajdujemy się teraz na wyspie?

— Jak to pan sam widzi — odpowiada yankes z wyjątkowo uprzejmym uśmiechem.

— I ta cudowna wyspa nazywa się?

— Standard-Island.

— A nazwa miasta na niej?

— Miliard-City...

## STANDARD-ISLAND I MILIARD-CITY.

W owym czasie, w którym opowiadane wypadki miały miejsce, czekano jeszcze na biegłego historyka i geografa zarazem, któryby zdołał podać dokładną liczbę wszystkich wysp, znajdujących się na kuli ziemskiej. Ilość ich jest tak wielką, iż nie zdaje nam się zbyt śmiałym przypuszczenie, że dochodzi poważnej cyfry milionów. Czy z pośród nich nie znalazłaby się choć jedna, któraby zadowolnić mogła wymagania mieszkańców Standard-Islandu? Stanowczo możemy dać w tym względzie przeczącą odpowiedź. Z tem też przekonaniem, powzięto myśl śmiałą, na jaką tylko mechanika amerykańska porwać się zdolną była, myśl utworzenia z podłożnych części sztucznej wyspy, będącej ostatnim wyrazem przemysłu metalurgii nowoczesnej.

Standard-Island, co znaczy, „wyspa typowa” zbudowaną jest na śrubie, stolica zaś jej Miliard-City, nazwaną tak została, bo mieszczą się na niej miliardy Rotszyldów, Wanderingów i podobnych im Nababów Nowego świata.

Sama myśl utworzenia sztucznej wyspy nie jest nowością żadną, nie przedstawia też niemożliwych do zwalczania trudności; wystarcza w tym celu nagromadzić dostateczną ilość materiałów stałych w wodach rzek, jezior lub morza, tak, aby ich masa opierając się na dnie, ponad poziom wystawała. Lecz w ten sposób powstała wyspa, nie mogłaby zadowolnić wymagań swych założycieli, których kaprys chciał, by zdolną była zmieniać wedle upodobania zajmowane przestrzenie morskie, czyli, aby to była wyspa pływająca.

Na tym właśnie warunku polegała cała trudność pomysłu, nie tak wielka jednak, aby jej nie zwalczyły niewyczerpane w swych pomysłach i wynalazkach ówczesne fabryki, o maszyny najnowszych systemów i udoskonaleń o sile przechodzącej prawie w nieskończoność...

Jeszcze przy końcu XIX-go wieku powzięli Amerykanie zamiar, z właściwym sobie upodobaniem do wszystkiego, co olbrzymie i oryginalne, osadzenia na kotwicy, wśród pełnych wód oceanu, niezmiernie wielkich tratw, na których jeżeliby nie powstało miasto całe, to przynajmniej wzniosły się hotele restauracyjne, teatry, kluby i tym podobne budynki, dające możność turystom użycia wszelkich przyjemności, właściwych najmodniejszym miejscom kąpielowym. Pomysł ten służył założycielom Standard-Islandu za punkt wyjścia.

Sześć lat zaledwie przed owym dniem pełnym przygód dla „Koncertującego Kwartetu”, zawiązało się stowarzyszenie z kapitałem pięciuset milionów dolarów, na który złożyli się bogaci przedsiębiorcy dróg żelaznych, właściciele kopalni naftowych, handlarze mięsem solonem, wreszcie o niezmiernych fortunach fabrykanci i bankierzy.

Z tak nieograniczonym prawie nakładem, przeciąg czterech lat wystarczył pomyslowym inżynierom, do zbudowania cudownej wyspy i założenia na niej wspaniałego miasta.

Jeżeli w ogóle tworzenie wysp nie jest nowością, to nawet wyspy pływające, od wieków już znane były niektórym ludom. Wiemy, że na wodach rzek Yank-tse-Kiang i Ho-anho w Chinach, w Brazylii na Amazonce, nawet w Europie na Dunaju pływają całe wioski, lecz są to tylko budowle krótkotrwałe, mające za podstawę powiązane z sobą pale drzew, które, zaledwie po przybyciu na miejsce przeznaczenia, bywają rozbierane tak, że i śladu po nich nie zostaje. Wioski i wraz z nimi wyspy przeżyły już czas swego istnienia.

Otóż całkiem inny los przeznaczony był dla Standard Islandu. Sztuczna ta ziemia, rzucona na olbrzymie wody oceanu, trwać miała tak długo, jak tylko długotrwałe może być wogóle, choćby najdoskonalsze dzieło rąk i rozumu ludzkiego.



W tym też celu szkielet jej, to jest podstawę, złożono ze stalowych sześciścianów, których siła oporu matematycznie obliczoną była względnie do ciężaru, jaki na nich miał się rozłożyć.

Dwa kroć siedmdziesiąt tysięcy sześciścianów o wymiarach 16 metrów i 70 centn. wysokości, na dziesięć metrów długości i szerokości skute i spojone razem utworzyły bryłę o powierzchni około 27 tysięcy metrów, albo 27 kilometrów kwadratowych.

W kształcie owalnym, jaki wyspie twórcy jej nadali, ma ona 7 kilometrów długości na 5 szerokości, powierzchnia więc tworzy równą cyfrę trzydziestu pięciu kilometrów.

Wynurzające się po nad wodą brzegi, wynoszą dwadzieścia, zagłębione zaś trzydzieści stóp, co znaczy, że ogólny ciężar, dochodzący do czterechkroć, trzydziestu milionów metrów kubicznych, usuwa wody na  $\frac{3}{5}$  swego ciężaru, czyli na dwakroć pięćdziesiąt siedm milionów metrów. Część jej zanurzona w wodzie pokrywa preparat, uważany przez długi czas za niemożliwy do utworzenia, za który wynalazca zebrał miliardową fortunę, a który chroni wyspę od ślimaków i morskich żyłatek, jakie zwykły się czepiać ścian statków i okrętów, uszkadzając je po dłuższym czasie. Spód jej stalowy nie lęka się również pęknięcia, lub rozdzielenia pojedynczych części, wszystko to bowiem wykonane zostało z rzadką akuracją i z materiałów niespożytej trwałości.

Do zbudowania tego olbrzymiego statku morskiego, za jaki uważać można Standard-Island, oddzielne wzniesiono warsztaty. Towarzystwo nabyło więc przedewszystkiem na własność, całą zatokę Magdaleny, znajdującą się w południowej części półwyspu Kalifornijskiego, gdzie też wykończono to olbrzymie dzieło, pod dozorem licznych inżynierów, którym przewodniczył sławny Wilian Tersen, zmarły w kilka miesięcy potem.

Oczywiście nie mogło być mowy, by gotową już i całą tę bryłę zepchnąć z lądu na ocean; budowali ją więc częściowo wyciągając w przystani Magdaleny, które to wybrzeże pozostało stałym portem dla „Cudownej” naszej wyspy.

Trzy czwarte części stalowej podstawy, tworzące pewne zagłębienie, względnie do przeznaczonego pod miasto obszaru, nawieziono tak głęboko użyznioną warstwę ziemi, aby na niej rosnąć mogły drzewa i krzewy. Założono więc laski, i ogrody owocowe, posiano łąki, posadzono najpiękniejsze kwiaty, lecz znacniejszą część gruntu uprawiano pod ogrody warzywne, które wydawały pod działaniem łagodnego klimatu i umiejętnie zastosowanych już wtenczas prądów elektrycznych, tak olbrzymie okazy buraków, marchwi, kartofli i t. d. o jakich trudno mieć pojęcie w obecnej jeszcze chwili. Jak w innych, tak i w tym kierunku nie szczędzono nakładów i kosztów. Służnicę też Standard-Island nazwaną została „klejnocikiem” Oceanu Spokojnego, gdzie wszystko znaleźć było można, prócz rozległych pól zbożowych, które uznano za zbędne, w obec łatwości zaopatrzenia magazynów na czas dłuższy, w potrzebne produkta.

Stolica Miliard-City rozkłada się na obszarze, wynoszącym piątą część owych dwudziestu siedmiu kilometrów kwadratowych całej wyspy. Jest to miasto zbudowane podług z góry zakreślonego planu, o ulicach prostych, regularnie się

przecinających. Tak jak we wszystkich miastach amerykańskich, niepodobna tu zabłądzić, co jest wielkiem przymiotem ze względów praktycznych, staje się jednak wadą z artystycznego punktu widzenia, grzeszy bowiem zwykłą symetrią, nie przedstawiając miłych zawsze dla turystów niespodzianek.

Towarzysząc Sebastyanowi i jego kolegom w zwiedzaniu Miliard-City, wiemy już dobrze, że jedna wielka ulica zwana pierwszą, dzieli je na dwie równe części. Na jednym krańcu tej linii znajduje się obserwatorium, na przeciwnym zaś wznosi się gmach ratuszowy, gdzie kupia się życie publiczne i administracyjne, gdzie się mieszczą lecznice i place targowe, gdzie są również różne szkoły, poczynawszy od elementarnych do wyższych kursów uniwersyteckich, a nawet akademii sztuk pięknych.

Ludność „Cudownej wyspy” nie przechodzi dziesięciu tysięcy, Amerykanie zarówno krajów północy, jak i południa. Nie różnią ich nigdy zapatrywania polityczne, ani wyznania religijne, są to bowiem umysły spokojne, które cenią nade wszystko byt wygodny i niezależny.

Gdy już grunt metaliczny zestawiono w części przeznaczony pod miasto, gdy zrobiono i przyjęto plan ulic, alei i skwerów, poczęły się wznosić bogate pałace, wspaniałe hotele i mieszkania skromniejsze w części handlowo-przemysłowej. Budowano też równocześnie gmachy publiczne, kościoły i świątynie, lecz nie wzniesiono ani jednej kamienicy o niezliczonych prawie piętach, sięgającej dachem, zda się, pod obłoki, tak pospolitych w Chicago i Nowym Yorku.

Materyały do budowy użyto zarówno lekkie, jak trwałe; poważne miejsce zajmuje tu aluminium, metal przyszłości jak go nazwał Sainte-Claire-Deville, nie ulegający łatwemu rozkładowi, siedm razy lżejszy od gatunkowego ciężaru żelaza, a podatny do wszystkich potrzeb trwałych budowli. Nie małą też rolę odgrywa tutaj sztucznie wyrabiany marmur, lub różnokolorowy cement, obok owych cegiełek szklanych, pustych wewnątrz, a złączonych w murach ciekawą oprawą metalową. Cegielki te trwałe, choć przezroczyste, urzeczywistniają wymysły niegdyś w bajkach pałace kryształowe. Stał jednak i żelazo niezbędne przy budowaniu okrętów, znalazły na „Cudownej wyspie” najobszerniejsze zastosowanie. Mimo wyszukanego przepychu i wygody, żaden dom niema prywatnego właściciela, wszystkie bowiem należą do „Towarzystwa Standard-Island,” a mieszkańcy ich, choćby najbogatsi, są tylko lokatorami, opłacającymi czynsz roczny. Cyfra tych opłat dochodzi wprawdzie nieraz do bajecznych sum, wszystkie jednak mieszkania zajęte są przez rodziny, którym podobny wydatek roczny nie stanowi żadnej różnicy; nie darmo bowiem stolica wyspy, miliardowem miastem nazwaną została.

Skromniej przez los uposażone rodziny profesorów, kupców, urzędników i przemysłowców zajmują lokale tańsze, co wszystko razem wzięte daje Towarzystwu piękne procenta od nakładowego kapitału.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Z wiosną, wiersz p. E. L. (z drzew.) — W pustyniach Australii p. Władysława Unińskiego. — Roślina kwietniowa. — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską. — Ateny (z drzew.) — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z drzew.) — **Dodatek:** Prawdziwy obiad (z drzew.) — Kryształowa zagadka, wiersz E. L. — Chytry lis. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-sa Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.



# WIECZORY RODZINNE.

## PRAWDZIWY OBIAD.



Mama wychodząc do gospodarstwa, dała Maryni kilka pierniczków, trochę rodzynków i migdałów, ażeby gotowała niby obiad, dla zabawienia podczas jej nieobecności młodszego rodzeństwa, Melci i Józia. Józio dowiedziawszy się o tem, bardzo się ucieszył i włożywszy na głowę białą szlafmycę zrobioną ze starej pończochy, którą znalazł w gałgankach przeznaczonych na skubankę, powiedział, że będzie kuchcikiem u Maryni.



— Nie myśl sobie — mówiła Marynia do Józia, że to będzie taki obiad jak gotujemy zwykle, krając i układając na talerzykach pierniczki i przybierając je rodzynkami i migdałami. To będzie „prawdziwy obiad”.

— Ale jakże go ugotujemy, kiedy mama do kuchni chodzić nie pozwala? — rzekł Józio.

— Rozpalemy ogień tu w ogrodzie...

— Ale mama z ogniem się także bawić nie każe...

— Ugotujemy obiad zanim powróci, przyniesę przedko suchych patyków i zapalki...

Józio miał wielką ochotę na tę zabawę, więc chętnie posłuchał namowy starszej siostrzyczki, sądząc, że nic złego nie czyni, i przyniósłszy przedko wszystko co poleciła Marynia, ogień rozpalili.

— O, patrzcie jak się ładnie dymi! — zawołał.

(d. c. n.)

## KRYSTAŁOWA ZAGADKA.

Znam jedno miasto dziwnie ubarwione;  
Bo wszystkie domy jego są zielone,  
Domy to różne — i wielkie i małe;  
A dla przechodniów otwarte dnie całe.  
Liczne ulice, osobliwszą modą,  
Najczęściej wąskie, w różne strony wiodą.  
Lecz te ulice choć w ustroniu cichem,  
Barw najróżniejszych jaśnieją przepychem,  
A czasem nawet przy światła pozłocie,  
Pereł, brylantów, błyszczą na nich krocie.  
A co za gmachy! ponad wszelkie miary,  
Biegną ku niebu wspaniałe filary.  
Wśród nich piętr mnóstwo, kędy z każdej strony,  
Żyją mieszkańców krocie i miliony.  
Wyżej i niżej, na nich i pod niemi,  
Jedni u szczytu, drudzy w głębi ziemi.  
A co tam ruchu! od końca, do końca,  
Śpiewy, gwar, szelest, już od wschodu słońca.  
Lecz skoro nocy zapadają cienie,  
Dokoła głucho panuje milczenie  
I tylko czasem, gdzieś tam na uboczu,  
Coś przemknie cicho, migną jakieś oczy.  
Mieszkańcy miasta! o mój Boże drogi!  
Ci najliczniejsi mają po dwie nogi,  
Ale się rzadko posługują niemi,  
Bo się nie lubią przechadzać po ziemi.  
A znowu inni — trudne to do wiary!  
Mają nóg po dwie, lub po cztery pary.  
Jedni rok cały stroją się w kozuchy,  
Drudzy w pancerze, jeszcze inni w puchy  
A są i tacy którym wśród zieleni,  
Leciuchna szata tęczowo się mieni,  
W gwarnym tym tłumie jak zwykle na świecie,  
Przeróżne typy i stany znajdziecie.



Są w górze, w dole, liczni pracownicy,  
 Ale niestety! są i rozbójnicy.  
 Jednak najwięcej wśród tych miasta szlaków,  
 Małych i dużych przebywa śpiewaków;  
 Którzy choć nigdy nie sieją, nie orzą,  
 Żyją swobodnie Opatrznością Bożą,  
 I ci w radości przez swe życie całe,  
 W pieśniach przecudnych wciąż głoszą jej chwałę.  
 A teraz pewnie ciekawość w was wzrasta,  
 Gdzie trzeba szukać zielonego miasta?  
 Szczęśliwy każdy kto z was w letniej porze,  
 Choćby najczęściej odwiedzać je może.  
 I w niem odetchnąć w uroczej ustroni,  
 Powietrzem, pełnem balsamicznej woni.

E. L.

## CHYTRY LIS.

W głębokim lesie, mieszkał w wygodnej norze stary, chytry lis. Taki już był słaby, że nie mógł chodzić na polowanie, i nieraz był głodny; żeby sobie zdobyć coś do jedzenia, musiał się uciekać do podstępów.

Razu pewnego, wieczorem, kiedy siedział na progu mieszkania, i rozmyślał, że już od dwóch dni nie miał świeżej zwierzyny, spostrzegł młodego zajączka, jak wspinał się na tylne łapki i ogryzał soczyste pączki z krzaków.

— Ach! — westchnął lis — gdybym był młodszy tobym sobie urządził doskonałą wieczerzę! Ale teraz, na stare lata nie potrafię go złapać.

Nagle przysłała mu myśl do głowy. Hm, hm, powiedział głośno.

Zając się przestraszył i spojrzał dokoła.

— Moje dziecko drogie — mówił lis pieszczotliwie — jestem chory i stary; nie mogę sobie przynieść wieczerzy. Czy nie zechcesz mi oddać małej usługi i wyręczyć mnie?

— Z największą ochotą! — zawołał niedoświadczony zajączek. — Co pan woli: rzeżuchę, czy młode listki?

— O nie! tego wcale nie jadam.

— Nie jada pan? Szkoda! to takie wyborne. Ale w takim razie, co panu mam przynieść?

— Wejdź tylko do mego domu, to ci pokażę, co ja lubię.

W norze ze wszystkich kątów wyglądały poogryzane kości królików, zające, kur i gęsi.

— Niech pan zaczeka chwilkę — powiedział zajączek — zaraz ogryzę tę gałązkę i będę na usługi pana.

Po chwili przyskoczył wesoło do lisa i zawołał:

— Jestem gotów!

Chytry lis tego tylko czekał: schwycił zajączka za kark, ścisnął mocno, i... miał gotową wieczerzę.

## OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Chodźmy razem — zdecydował Tomcio.

— Mnie też z sobą zabierzcie — wołał Józio — nie chcę tu sam bez was zostać. Nowa niania gotowa tymczasem nadjechać i dać mi różgą.

Czas ubiegał i jedyna dobra sposobność mogła nas minąć. Obawiając się w razie oporu z mej strony wywołania u braci wybuchu rozpacz, któryby nam zupełnie szyki popsuł nie ociagałam się dłużej; zarzuciłam na siebie płaszczyk, włożyłam kapelusz, Józioowi szalik na szyję zawiązałam, Tomciowi zaleciłam uczynić podobnie; czapeczki mieli na głowach, byliśmy gotowi.

Udało nam się otworzyć ciężkie drzwi wchodowe nie zwróciwszy niczyjej uwagi. Tomcio chciał je zamknąć za sobą.

— Co robisz — przeszkodziłam mu żywo — musimy libyśmy dzwonić za powrotem, zostaw drzwi uchylone.

W parę minut później z głębokiem przeświadczeniem, że wyprawiając list do Kasi, spełniamy najświętszy obowiązek, szliśmy wszystko troje ulicą prawie pustą o tej porze. Wkrótce doszliśmy do owego przez Tomcia wskazanego rogu ulicy i ujrzelśmy tuż przed sobą skrzynkę pocztową.

— A co! nie miałem racji — zawołał Tomcio rozradowany. — Dawaj list Zosiu.

— Zapominasz znowu o marce, gdzieby ją dostać?

Tomcio zachęcony powodzeniem był pełen otuchy.

— Idźmy dalej — zdecydował — widzę tam konie i powozy, musi to być znaczniejsza jakaś ulica, gdzie będą sklepy.

W rzeczy samej ulica, do której doszliśmy była wspaniała, znakomicie oświetlona i bardzo uczęszczana, sklepy przepyszne, niezliczeni przechodnie cisnęli się na chodnikach, a środkiem jechały liczne ekwipáže. Józio nerwowo ścisnął jedną moją rękę, Tomcio uchwycił drugą. Hałas ten i zamęt oszołomiły mnie także.

— Nie oddalajmy się zanadto — powiedziałam.

— W jakiego rodzaju sklepach kupują się marki? — spytał Tomcio.

— Nie mam pojęcia. Trzeba się dowiedzieć.

Weszłam do apteki.

Za kontuarem stali panowie z wyrazem twarzy poważnym i uroczystym. Jeden pisał w jakiejś wielkiej księdze, drugi stawiał opatrzony napisem słoń w szereg słoń tegoż kształtu i wielkości, trzeci wlewał jakiś czarny płyn do małej buteleczki. Ten ostatni ostro i krótko zagadnął:

— Czego wam potrzeba?

Widocznie nie miał wysokiego wyobrażenia o dzieciach, biegających po ulicach bez dozoru matki lub ochmistrzyni.

Wyraziłam moją prośbę.



— Marek dostać można na pocztę, w sąsiedniej ulicy na lewo — objaśnił młody człowiek i odwrócił się.

Stałam ciągle na miejscu; przerażała mnie myśl zapuszczania się znowu w tę gwarną ulicę. A nuż jaki wypadek zdarzy się któremu z chłopców, albo w skutek opóźnienia zauważą naszą nieobecność, dopieroż to stryj i pani Gertruda łajać nas będą.

Pan z siwemi włosami równie jak pierwszy, ale o wiele uprzejmiejszy spytał mię łagodnie:

— Czy załatwiłaś się już moje dziecko?

— Już — odrzekłam zmieszana. — Nie przyszedł tu po żadne lekarstwo; potrzebna mi jest marka, a na pocztę tak daleko! Lękam się by mi który z braci nie zginął, takie tłumy na ulicy!

Stary pan uśmiechnął się dobrotliwie.

— A panienka sama zginać się nie boi? — rzekł. — W jej wieku łatwoby to zdarzyć się mogło.

Strach mnie ogarnął. Jeśli każe odprowadzić nas do domu policyantowi tak, jak to słyszałam, zdarzało się w Londynie zabłąkanym dzieciom.

Żywo też, choć stłumionym obawą głosem odparłam:

— Mieszkamy stąd niedaleko i wrócimy do domu jak tylko list wyprawimy.

Zbierałam się do odejścia. Nowy nasz znajomy wstrzymał mnie, mówiąc:

— Mam czego wam potrzeba, i wyjął markę z pugilaresu.

Podałam mu pieniądze, dodając z wdzięcznością:

— Bardzo, bardzo panu dziękuję.

— A nie zmylicie drogi z powrotem? Gdzie wasze mieszkanie?

Nie miałam o tem pojęcia; nazwa ulicy przy której dom stryja się znajdował nie obita mi się o uszy, nie przyszło mi również na myśl spojrzeć na napis objaśniający. Patrzyłam na Tomcia, on na mnie.

— Nazwiska ulicy nie znam, ale pewną jestem, że do niej trafię, nieprawdaż Tomciu?

— Naturalnie, że odnajdziemy mieszkanie naszego stryja, doktora G.

Trąciłam go łokciem — zapóźno.

— Doktora G.! — zawołał aptekarz zdziwiony — ależ to dobry mój znajomy. Nie zdaje mi się, aby był rad, gdyby wiedział, żeście tu przywędrowali sami. W rzeczy samej nie jest to daleko — dodał jakby do siebie — a nie chciałbym ściągnąć połajania na tych biednych malców, osobiście ich odprowadzając.

Staliśmy zdumieni. Jakto, ten pan znał naszego stryja!...

On zaś upominał jeszcze.

— Nie zapomnijcie, że doktor G. mieszka na ulicy Windpole.

Podziękowawszy mu ponownie, oddaliliśmy się spiesznie.

#### PIĘKNA ŻŁOTOWŁOSA.

Mówiąc, żeśmy szli spiesznie, nie wyrażam się dokładnie, gdyż mimo najszybszych chęci zaledwie mogliśmy się posuwać po natłoczonym trotuarze. Przywykli do swobodnych spacerów na wsi, nie umieliśmy wcale poruszać się wśród tłumu. Miałam jakieś niewyraźne

wrażenie, że powrotna droga zbyt się przedłużyła, ale anim przypuszczała, że pociągnieci falą przechodniów, dawno minęliśmy uliczkę, w którą skręcić należało.

— Nie widzę skrzynki pocztowej — rzekłam do Tomcia, zwracając w stronę, która mi się właściwą wydała.

— Jest troszkę dalej — odpowiedział Tomcio.

Ale i dalej jej nie było, doszliśmy do rogu nie nie spostrzegłszy. Na prawo i na lewo ciągnęła się szeroka ulica mało uczęszczana.

— Tutaj na prawo mieszkamy — zawołałam -- nie rozumiem tylko gdzie się skrzynka podziiała!

Na zakręcie Tomcio wydał okrzyk radości i gwałtownym ruchem pociągnął mnie za sobą.

— Tam, tam jest ..

Miało to znaczyć, że dostrzegł skrzynkę pocztową.

— Może to ta sama — zauważył, nakłaniając mnie do przejścia na przeciwną stronę.

Nie było to prawdopodobnem; doznałam jednak ulgi gdy list wpadł w głęboką otchłań skrzyni, zupełnie podobnej do tej, która tak zagadkowo zniknęła.

— Teraz spieszmy z powrotem — zawołałam.

Na nieszczęście wszystkie domy łądząco były do siebie podobne, a dom stryja niczem się nie odznaczał, chyba tem, żeśmy drzwi zostawili uchylone.

Nazwa ulicy podana przez aptekarza już nam uleciała z pamięci.

— Zawróćmy i rozejrzyjmy się dokładnie — radziłam. Już późno być musiało a na domiar złego począł padać drobny deszcz, który nas do szpiku kości chłodem przejmował; lekko odziani wkrótce poczęliśmy drzeć z zimna. Nad wyraz strapiiona, czyniłam sobie gorzkie wyrzuty. Bracia zaziębić się gotowi, mówiłam sobie z trudem łyż wstrzymując. Oh! Boże mój Boże, co robić? Żeby chociaż kogo zapytać! Ale nikt nie przechodził i nie wiedziałam co robić. Już mi na myśl przychodziło odzukać aptekarza, który znał stryja Franciszka i o pomoc go prosić, gdy wtem Tomcio zawołał:

— Zosiu, nie idziemy po dobrej stronie, oto ogród nadpowietrzny Józia. Dom stryja musi być naprzeciwnko.

Wbiegliśmy gorączkowo po stopniach przedsionka. Drzwi nie były zamknięte.

— Widzisz — odezwał się braciszek z tryumfem,

Drzwi otworzyły się na oścież i zwabiony szmerem służący zbliżył się do nas.

— Idźcie precz małe włóczęgi — zawołał, nie różniąc nas dobrze wśród ciemności.

Niestety! nie był to dom stryja Franciszka.

Oburzenie Tomcia silniejsze było od strachu.

— Nie jesteśmy żadne włóczęgi, sądziliśmy, że wracamy do siebie i... i...

Biedny malec nie był w stanie dłużej mówić, mimo swego męstwa wybuchnął płaczem. Usłyszawszy to Józio, zaczął mu wtórować. Nie wiedziałam jak ich uspokoić, całowałam kolejno, powtarzając:

— Nie płaczcie, nie płaczcie, zaklinam was moi najdrożsi. Wrócimy do tego dobrego aptekarza, on wie, że nie jesteśmy włóczęgi — dodałam z naciskiem, rzucając na służącego spojrzenie pełne gniewu — i odprowadzi nas do stryja. Tam niech mnie ukarzą tak surowo, jak ze-



chę, ale przyrzekam, że was nawet połać nie pozwolę. Pani jakaś, której obecności nie zauważyliśmy dotąd, poszła ku nam prędko.

— Janie, nie odprawiaj tych biedaków, muszę im dać cośkolwiek.

Ona także brała nas za żebraków, ale jakim sposobem ten głos o dźwięku poważnym i słodkim, nie był nam obcy. Owa pani ruchem nagłym stanęła w pełnym świetle. Oniemieliśmy ze zdziwienia. Była to ta sama młoda osoba, która kilka tygodni temu zwiedzała mieszkanie naszych rodziców i którą przezwaliliśmy, piękną Złotowłosą.

(d. c. n.)

## SZARADA.

*Pierwsze z trzeciem, broń groźna w walczących szeregu.  
Drugie z trzeciem niedawno sunęło po śniegu.  
Wszystko zaś przez swój wygląd prosty, lecz wesoły,  
Mile zdoła nam zawsze wielkanocne stoły.*

## ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

od Jaskółki dla czytelników Wieczorów.

Rz.dż s.. r.z.mn.., spr.w.. s.. p.czc.w..  
. w k.ż.d.m st.n.. m.ż.sz.ż.c szcz.śl.w..

Zastąpić kropki samogłoskami i odczytać dawne przysłowie.

## ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożyła polna Myszka.

\* . . . . . Zastąpić kropki literami wyrazów  
\* . . . . . 6-cio zgłoskowych, których pierw-  
. . \* . . . . szy rząd oraz pierwsze litery złożą  
. . . \* . . . nazwę wodza, litery oznaczone  
. . . . \* . . gwiazdkami, nazwę perskiego boż-  
. . . . . \* . ka, złego. 2) Cesarz rzymski od-  
. . . . . \* . znaczył się jako sprawiedliwy wład-  
ca. 3) Dawne państwo w Azji Mniejszej. 4) Ogólna na-  
zwa wapienia krystalicznego. 5) Owoc rosnący w Azji  
i Ameryce, u nas uprawiany w ciepłych szklarniach.  
6) Miasto w Chinach. Sylaby: A—tra—a—mar—a—nan  
—ta—jan—sy—mur—na—kin—man—rya—nas.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

*Łamigłówek kropkowanej:*

S s g g a ś n m k o Z  
o l r r l l i r w C i  
b k E a a i e ó l e e  
o o c N s w m W a a m  
t r y i K k E k t n i  
a a a t a I n a y y a

*Szarady:* An — te — na — ty.

*Kwadratu magicznego:*

P - u d  
u f a  
d a r

## Skrzynka do listów.

**P. R. S.** z Piotrkowa. Mitologia grecka i rzymska najodpowiedniejsze dla dzieci są: Zippera lub Majewskiego, cena bez oprawy i przesyłki kop. 90, nabyć można w każdej księgarni.

**Dar Wandzi W.** dla szpitala dzieciennego z wdzięcznością przyjęty został, a chore dzieci bawiąc się przesłanymi zabawkami, błogosławić będą małą ofiarodawczynię, która je dla nich zaoszczędziła.

Radzi jesteśmy, że **Julcia S.** wraz z braciszkiem z przyjemnością czytuje „Wieczory” i że wynagradzają im one brak koleżeńskich stosunków.

**Janinka S.**, siostrzyczka jej **Zosia** i braciszek **Bohdanek** nadesłali rs. 3 na kolonie letnie, a nadto panienki obiecują uszyć własnoręcznie co z odzieży dla biednych dzieci; świadczy to najwymowniej o szczerem współczuciu ich dla nieszczęśliwych, pozbawionych świeżego powietrza.

Życzenie **Stefci H.**, iżby wszyscy ludzie na świecie byli rozumnymi, prawymi, zgodnymi, jest bardzo piękne, ale dla urzeczywistnienia go potrzebaby ludzi grzesznych i ułomnych przemienić w aniołów, do których zbliżone są charakterem niektóre wybrane tylko dusze, jakkolwiek dążyć do tego podniosłego celu obowiązkiem jest wszystkich.

Ciekawości **Figlarki** zaspokoić nie możemy, zdradzając tajemnicę używanego pseudonimu, w jej imieniu przeto zasyłamy podziękowanie **Czczotce** za ułożoną szaradę i obiecujemy łamigłówkę, jaką na odwet **Figlarka** zamierza ułożyć dla **Czczotki**, wydrukować w „Wieczorach” jeśli do tego nadawać się będzie.

**Lew** z nad Nilu gdy zechce raz drugi odczytać uważnie artykuł z Nr. 14 „Wieczorów” p. t. „Przymnażanie kwiatków” sam uzna, że w nim jasno i zrozumiale wyłożone, które gatunki roślin pokojowych łatwiej w doniczkach hodować się dają i jak z niemi obchodzić się wypada. Na stawione pytanie kto jest jaskółka i czy pisywać do niej wolno? Odpowiadamy, że to ptaszek przyswojony i dobrze wychowany, zatem ktokolwiek odzywa się do niego, odpowiedź zawsze niechybnie otrzyma. Redakcja też zawsze każdemu gotowa udzielić żądanych objaśnień.

**Stefana B.** uprzedzić musimy, że przy układaniu rebusów wymagana jest wielka dokładność rysunku, z którego klisze muszą być zdjęte. Otóż jeśli nadesłany rysunek nie odpowiada tym warunkom, życzeniu młodego korespondenta nie będziemy mogli zadość uczynić.

**J. Wasiański** i **Lew** z nad Nilu nadesłali kwadraty magiczne. Dobre rozwiązanie łamigłówek nadesłali: **Czczotka**, **Lew** z nad Nilu i **Opteo Tuljo**.

Wzywam mnie tak uprzejmie, **Marylko** z pod Kutna, tak pojętnie malujesz widok pierwszych wiosennych dni, że chciałoby się istotnie rozwinąć zeszytywniale w zimie skrzydełka i frunąć tam, gdzie rozlega się w powietrzu śpiew swobodnych ptasząt i śmiech wesołych dzieci. Ale wiosna to pora pracy, mającej wydać plon, choćbym tedy tylko jednym ziarneczkiem do pracy tej dla ogólnego dobra przyczynić się miała, nie wolno mi ani chwili na własną obracać przyjemność pomnąc, że do spełnienia obowiązku tak ludzie, jak ptaki uchylać się nie mają prawa.

*Jaskółka.*